

►►► Dokończenie ze s. 21

teresów, dla moich roszczeń, stanowi inny interes, inne roszczenie - i te interesy muszą się jakoś utrzyć.

W Polsce to nie wychodzi, bo wspólnotę mamy przy trumnie prezydenta i jego żony, a na co dzień żyjemy tak, jakby nie było drugiego człowieka. Żyjemy byle jak, wchodząc drugiemu na głowę.

Ta anarchia dla niektórych prawicowych ideologów, na przykład właśnie Rymkiewicza, to istota polskości, to samo dobro. Dla mnie to samo zło, bo jestem państwowcem. Trudno mi więc znieść chaotyczne zapasy egoistów niewęczące nasz wielki pospólny trud. I chciałbym demokratycznego państwa prawa - porządnie urządzonego, z poszanowaniem reguł ukształtowanych w wyniku negocjacji społecznych. A nie autorytarnie narzuconych, jak to dziś robi Kaczyński i świta. To już zresztą przerabialiśmy w czasach saskich i wiadomo, jak się skończyło - rozbiarami. Dziś zresztą, niestety, może się skończyć też ruina: umysłowa i ekonomiczna. I pojawi się „Polska w ruinie” - tej prawdziwej, bolesnej.

Kaczyński zamachnął się nieprzypadkowo na szkołę, bo to kuznia umysłów. On chce ją ukształtować natomiast jako formę emocjonalnej akceptacji swojego systemu. To będzie ława szkola: definicyjna, pamięciowa, gdzie patriotyzm realizuje się przez wygłaszanie patetycznych wierszyków i puste, podniosłe deklaracje.

Wierzy pan, że młodzi ludzie to zaakceptują? Dziś, w czasach Twittera?

- Twitter też można przekształcić, w co się zechce. To tylko narzędzie. A hejt przeciwko uchodźcom gdzie nakręcono? Właśnie w internecie. Technologia może posłużyć przeciwieństwu każdej mentalności i ideologii - tak jak młotek może służyć do wbijania gwoźdźca albo rozbicia głowy.

Kaczyński wie zresztą, co robi, sięgając do tradycji anarchicznej i saskiej. Lud sobie potwarzał wówczas: „Za króla Sasa był chleb i kielbasa, nastał Poniatowski, zostały tylko łuski”. A ja jeszcze z dzieciństwa pamiętam starych ludzi, którzy mówili: „Wiesz, najlepiej było za cara, bo była kielbasa, chleb, porządek, spokojnie się żyło”. A że nie było Polski? Diabli tam z Polską!

Nie ma co się dziwić: po co nam demokracja, konstytucja, skoro nie mamy co do garnka włożyć.

- Ale dziś mamy co do garnka włożyć. Widziała pani te tłumy z wózkami wypełnionymi po brzegi w hipermarketach?

Ale to nie wszyscy Polacy.

- Ale większość, proszę mi wierzyć. To oni się śmieją z obrońców „dupokracji” - tak mówią o demokracji. Oni potrzebują nowego samochodu, ciucha, jeszcze jednego i kolejnego. No i nikt z głodu nie umiera u nas na ulicach.

Powtarza pan, że Polska to dwa plemiona.

- Nie, więcej: Polska to dwie cywilizacje - zegara i krzyża. Nie przypadkiem przecież pani premier Szydło zastąpiła w swoim urzędzie ten pierwszy kopią tokańskiego krucyfiksu. Zegar - mówią w uproszczeniu - to symbol postępu i rozumu, krzyż odwołuje się natomiast do czasu świętego, nieruchomego, „wyjętego” z postępowego biegu. Za tą symboliką stoją oczywiście jeszcze inne dwoistości: miasta i wsi, centrum i prowincji, zdesakralizowanego Zachodu i Polaka katolika, uniwersalności i „tutejszości”, europeizmu i narodowego ducha, rzekomego wykorzenienia i rzekomego zakorzenienia.

I nic dziwnego, że tak. Polskę rozdierają ciągle jeszcze dwa wielkie i na dobrą sprawę osobne systemy doświadczenia. Na większości terenów dzisiejszej Polski pańszczyznę zlikwidowano dopiero pod koniec XIX wieku, w latach 1861-72, a jej resztki, tzw. żelarkę na Spiszu i Orawie, dopiero w 1931 r.! A prawdziwej historii zniewolonego chłopca pańszczyźnianego, bez świadomości świata i własnej tożsamości, nieznającego żadnej wspólnotowości i bezgranicznie upokarzanego, nikt w istocie nie opisał.

Rozumiem, że był komunizm. Ale przecież przyszedł '89 rok i można było tę chłopską historię opowiedzieć. I znów tego nie zrobiono. To jest ta „prześlona rewolucja” z książki Andrzeja Ledera, która nam wraca i będzie wracać nieustającą czkawką, snem strasznym.

Czyja to wina?

- Oczywiście elit. Wypiańskiego mało kto czytał. Łatwiej było wpisać chłopską historię „na siłę” w opowieść szlachecko-inteligencką, w „polskie dzieje malowane” - patetyczne, męczeńskie, heroiczne - niż pomóc opowiedzieć historię niemieckiego polskiego chłopca: i zastraszonego, i straszonego w chwilach swojego buntu. Tęgo, który był dręczony, ale i tego, który rznął piłą pana podczas rabacji 1846 r. Spisać ją.

Nie zrobiono tego, milczano, budowano - nie tylko za komuny - mit dzielnych kosynierów Tadeusza Kościuszki.

A potem nagle „walnięto wstydem”: o okrucieństwie chłopów wobec Żydów podczas drugiej wojny. Zresztą o prawdziwym okrucieństwie. Ale czy ktoś wysłuchał ludzi z Jedwabnego albo Radziłowa, z innych miejsc, w których były pogromy? Dał im szansę wysłowienia się, a przez to jakiegoś - może - oczyszczenia?

Nie, za to na siłę wmawiano: wstydzcie się swojej przeszłości, bądźcie europejczy, zmodernizowani, postępowi.

I pojawili się ci drudzy, ideolodzy prawicy, którzy powiedzieli: nie musicie się niczego wstydzić. Bądźmy narodowo-plemienni, strzeżmy naszej ziemi, naszej krwi. Bądźmy dumni ze swojej przeszłości, zawsze czystej i zawsze wspólnie.

I te dwie cywilizacje się rozeszły. I długo się nie zejdą.

Jak we Włoszech, gdzie Północ, która ma się za lepszą, postępową, zmodernizowaną, nie dogaduje się z uznawanym za agrarne, ciemne, zacofane Południe. Jak w Austrii, z której wywodziło się - według Centrum Wiesenthala - więcej najsroźszych nazistowskich zbrodniarzy niż z Niemiec, a piwnice Fritza nie pojawiły się przypadkiem. Jak we Francji, gdzie ciągle nie opowiedziano o masowej, cynicznej kolaboracji z faszystem.

W tych wszystkich krajach jest coś niewypowiedzianego, co wisi ponuro nad życiem społecznym.

Znacznie łatwiej jest żyć w takiej Anglii, gdzie ludzie mają pełną świadomość brutalności swoich skomplikowanych dziejów. Albo nawet w Niemczech zachodnich, gdzie jakoś tam rozliczono się z nazizmem, jakoś tam opowiedziano swój los i swoją winę.

Jeśli jest tak, jak pan mówi, łatwo nie będzie się spotkać. Zbyt wiele jest w nas poczucia krzywdy i ran.

- Jakoś musimy spróbować się dogadywać. Mimo wszystko. Wielką nadzieję pokładałam w KOD-zie. Tam są ludzie mniej zrozpaczeni ode mnie i bardziej wierzący we współpracę z drugą stroną. Ja wierzę w możliwość współpracy znacznie mniej, ale akceptuję konieczność rozmowy. I wiem, że trzeba będzie się w końcu dogadać.

Ludzi w KOD-zie będzie przybywać, również młodych. Ale ten ruch nie może przekształcić się w partię, musi zachować swoją powszechność, musi tworzyć przestrzeń dla nowej formacji - tej, która rozumie, że trzeba zawrzeć nową umowę społeczną. Polska to dwie cywilizacje jak rzeka - o dwóch brzegach. KOD musi być mostem.

Jak to zrobić?

- KOD musi zachować swój liberalno-demokratyczny charakter, a jednocześnie zobaczyć drugi brzeg: tych dotkniętych różnymi nieszczęściami ludzi, o których zapomniano przez ostatnich 27 lat. Nie chodzi jednak o sojusz z chłami i Edkami. Na drugim brzegu nie stoi bowiem jednolita tłuszcza, ale różni ludzie wymieszani starannie w jakieś szalone pospolite ruszenie przez Kaczyńskiego i jego ideologów.

Wyciągamy więc rękę do tych, z którymi da się gadać, i próbujemy zawrzeć nową umowę społeczną. W sprawach sensownej pomocy społecznej, bardziej sprawiedliwego rynku pracy, zreformowanej w rzeczywisty sposób edukacji.

To będzie pewnie trwało długo i trzeba będzie znaleźć w nas dużo cierpliwości - ale nie ma innego wyjścia. ●

***Zbigniew Mikolejko - ur. w 1951 r., filozof i historyk religii, profesor w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Ostatnio wydał „Jak błędzić skutecznie” i „We władzy wisielca. Z dziejów wyobraźni Zachodu”**

OSTATNI DZWONEK

Trzy sprawdziany w dniu, gdy pani udało się uruchomić ksero. Zgubione prace konkursowe. Obiecane nagrody, które nigdy nie nadeszły. Strasznie ważne referaty, do których nikt nie zajrzał

MARCIN WICHA*



Skłoda porozumiewa się z dziećmi jak akademik Pawłow z psami - za pomocą dzwonek. Efekty można obserwować kilka razy dziennie. Wystarczy, że zadzwoni dzwonek, a sfera zaczyna się wiercić. Słychać skrobanie w drzwi. Piski. W trzeciej minucie doliczonego czasu następuje odwieczny dialog:

- Kto wam pozwolił wstawać?

- Ale dzwonek, proszę pani.

- Dzwonek jest dla nauczyciela.

Nauczyciel też chciałby już skończyć i wybiec z krzykiem. Nic z tego. Przecież stracił pół godziny na logowanie się do dziennika, rozdzielanie skłóconych wyrostków, tamowanie krwotoku z nosa i rozsadzanie gaduł.

Teraz trzeba jeszcze podać pracę domową, sprawdzić, czy zapisali numer ćwiczenia. I upewnić się, że wszystko jest w zeszycie. Luźne kartki zaraz pogubią.

Znajoma nauczycielka opowiada, że uczniowie mają nowy zwyczaj. Kiedy zaczyna się przerwa, wypadają na boisko, wrzeszcząc: „Allahu Akbar!”. To dość krępujące („Zrobili to nawet w dniu, kiedy był u nas biskup”).

Niby obowiązuje umowa, że dzwonek ogłasza początek i koniec lekcji.

Ale dla ucznia metaliczny zgrzyt oznacza: „Chodź tu natychmiast, bo będziesz miał spóźnienie”. A trzy kwadransy później: „Zaznacz cokolwiek i oddaj arkusz odpowiedzi. I tak już nic nie wymyślisz”. Dla nauczyciela ten sam dźwięk jest tylko uprzejmą sugestią.

Szkola służy do oswajania niesprawiedliwości. Jak mówił mądry rektor w „Stalky i spółka” Kiplinga: „Ile razy spotkał was coś, co się uchyla od normy - zapamiętajcie sobie, bo to się wam przyda w późniejszym życiu - przyjmijcie to w sposób normalny”.

Dzieci dorosną. Wkrótce będą miały szefów i szefowe. Będą się musiały podporządkować kodeksom, regulaminom i statutom. Teraz niech ćwiczą. Niech trenują opór i posłuszeństwo. Niech kombinują, kiedy pyśkować, a kiedy milczeć.

Problem w tym, że polska szkoła nadużywa zasady „dzwonek jest dla nauczyciela”. Że nałogowo nie dotrzymuje umów.

Ile razy to widziałem. Testy, które się nie odbyły, bo pani nie opanowała sztuki włączania kserokopiarki. Trzy sprawdziany w dniu, gdy pani udało się uruchomić kserokopiarkę. Zagubione prace konkursowe. Obiecane nagrody, które nigdy nie nadeszły. Strasznie ważne referaty, do których nikt nie zajrzał.

Nauczyciele często nie dotrzymują obietnic, ale równie często nie spełniają gróźb.

Wymyślają drakońskie kary. Zapowiadają represje. W końcu się doigracie!

Potem przychodzi ulaskawienie. Niekiedy nawet eksplozja szczodrości: - Niech wam będzie, dzisiaj każdy dostanie po piątce!

Dokładnie tak samo postępują władze oświatowe z nauczycielami.

Padło hasło do walki o zdrową żywność. Rozpętała się wojna z dilerami cukru w szkolnych sklepikach. Mijał rok: zrehabilitowane drożdżówki triumfują. A tyle było przekonania rodziców i dzieci do sałatek, kielków i słodzenia miodem.

Ledwie udało się przystosować szkołę do potrzeb sześciolatków, ledwie kupiono właściwe ławki i dywaniki, znaleziono klasy, zadbano o szatnię, szafki i salę zabaw, a już wszystko trzeba zaczynać od początku.

- A egzamin w przyszłym roku będzie? - pytamy na wywiadówce.

- Nie.

- A co z gimnazjami? - dociekamy.

- Nie wiem - odpowiada pani. - Nawet w telewizji mówili, że nie wiadomo.

Zmiany są potrzebne. Ale w piekle powinno się znaleźć miejsce dla tych, którzy marnują cudzy wysiłek.

Od ośmiu lat patrzę, jak szkoła uczy, że nie warto jej traktować poważnie.

Lekcja pierwsza. Reguły są dla słabych. Silny robi, co chce, i w ten sposób demonstruje swoją władzę. To jak z kodeksem drogowym. Słaby czeka na zielone, a potem z modlitwą na ustach brnie przez pasy. Silny dociska gaz.

Dzieci dorosną. Będą się musiały podporządkować szefom i regulaminom. Teraz niech ćwiczą. Niech kombinują, kiedy pyśkować, a kiedy milczeć

Lekcja druga. Jeśli nie zostaniemy rozjechani, wszystko inne można negocjować.

Dzieci łapią to w lot. Wyobraźmy sobie chłopczyka, który pluł koledze na tabletki, gadał podczas apelu ku czci „żołnierzy wyklętych”, a w końcu założył kamerę w toalecie dla nauczycieli (kanał na YouTube cieszy się sporym powodzeniem). Gdy przychodzi do wystawiania ocen, sympatyczny urwis domaga się wzorowego zachowania.

Taką przyjął taktykę negocjacji. Zaczyna z wysokiego pułapu, potem ustąpi. Zgodzi się na wyróżniające.

Wreszcie lekcja trzecia i ostatnia. Brzmi ona: poczekamy, zobaczymy. Znowu coś wymyślili na górze? My nic nie wiemy. Nie zapisaliśmy w zeszycie. Może zapomną. Może rozejdzie się po kościach.

Tymczasem umilkł ostatni dzwonek. Zaczął się czas malowania korytarzy i cyklinowania podłóg. Ciąg dalszy we wrześniu. ●

***Marcin Wicha - grafik, autor książek „Jak przestałem kochać design”, „Klara. Słowo na »Szy«” i „Łysol i Strusia. Lekcje niegrzeczności”**

Autor będzie gościem Karoliny Głowackiej w TOK FM w sobotę po godz. 11

